Rok VI. 11 Marca 1934. Nr. 11

DZWONECZEK

Pójdźmy pod krzyż!

Rok po roku poprzez wszystkie pokolenia ludzkie odnawia się pamięć zdarzenia, od którego upłynęło teraz 19 stuleci. Dawniej, gdy życie było łatwiejsze, spokojniejsze, gdy ludzie nie potrzebowali z takim trudem zdobywać dla siebie utrzymanie, gdy nie było jeszcze takiej gorączki pracy jak teraz, więcej poświęcano czasu modlitwie i rozmyślaniom nad sprawami wiecznemi. Ostrzejsze też były przepisy kościelne co do zachowywania się wiernych w ten najsmutniejszy okres roku, jakim jest Wielki Post, poprzedzający dzień Zmartwychwstania Pana Jezusa. Zawsze jednak po dziś dzień obchodziło się i do skończenia świata obchodzić się będzie w świecie chrześcijańskim Wielki Post w sposób szczególnie uroczysty, jako że jest to pamiątka najdonioślejszego wydarzenia w dziejach ludzkości.

Całe bowiem dzieło stworzenia dokonane przez Stwórcę, zostałoby z powodu grzechu człowieka zmarnowane, gdyby nie było nastąpiło dzieło odkupienia, spełnione przez Syna Bożego. Bóg Wszechwiedzący przewidział to, iż grzech zamknie duszy ludzkiej otwarte dla niej wrota Niebios, zagrodzi drogę do szczęścia wiekuistego, pozbawi człowieka prawa dziecięctwa Bożego. Zanadto jednak umiłował On ludzi, by ponownie nie okazać im Swego miłosierdzia. Dla odkupienia więc całego rodzaju ludzkiego i uczynienia go z powrotem dziedzicem Nieba, oddał dla przebłagania obrażonego Majestatu Bożego, Syna Swego Jedynego na ofiarę. I dlatego to musiał narodzić się Jezus, by jako Bóg-Człowiek ponieść później śmierć męczeńską na krzyżu.

Właśnie porą rozpamiętywania tego dzieła Odkupienia jest Wielki Post. Starajmy się więc, mimo wszystkich naszych zajęć i trosk, znaleść codziennie chwilkę wolną na to, by się zbliżyć bodaj troszeczkę do tego krzyża Zbawiciela, by tak wzruszyć serce i sumienie swoje Jego męką przeogromną a niezasłużoną, żeby nareszcie odmienić swoje życie i stać się naprawdę Jego najwierniejszym wyznawcą. Im więcej gromadzić się nas będzie wokół Chrystusa Pana, tem rzadziej odzywać się będzie z wysokości krzyża Jego przeżałosna skarga: „Ludu mój, ludu, cóżem ci uczynił, czemem zasmucił, albo w czem zawinił?“ *el.*

Mały bohater

Za czasów pogańskich żył w Rzymie 11-letni chłopczyk, imieniem Tarcyzjusz. Należał on do nielicznej jeszcze wtedy garstki chrześcijan, których poganie strasznie prześladowali, skazując na więzienie lub śmierć. Kryli się zatem wyznawcy Chrystusa ze swoją wiarą w podziemiach, zwanych katakumbami, jakie ciągnęły się niemal pod całem miastem. Tam też odbywali swoje nabożeństwa — w ciągłej obawie, że zostaną wyśledzeni. Przy nikłych światełkach oliwnych kaganków kapłani odprawiali Mszę świętą, komunikowali wiernych, wygłaszali kazania, nauki, pocieszali i wzmacniali do wytrwania przy Chrystusie, choćby nawet śmierć trzeba było ponieść dla Niego.

Znalazł się tam pewnego sierpniowego dnia i Tarcyzjusz i wraz z innymi modlił się za tych, którzy jeszcze nie poznali prawdziwej wiary. Śpiewają wszyscy, śpiewa i Tarcyzjusz, a potem przystępuje do Stołu Pańskiego, tak jak wszyscy obecni. Ale tej jedynej pociechy pragną i ci, którzy w okrutnych więzieniach zamknięci, już tylko oczekiwać mogą śmierci, którą poprzedzić ma straszliwa męka w zębach dzikich zwierząt, w płomieniach stosu, na krzyżach, czy palach. To też chrześcijanie znajdujący się na wolności starali się zawsze przynieść im Pana Jezusa. Nie mógł jednak uczynić tego kapłan, gdyż byłby natychmiast przez pogan poznany i również uwięziony.

Któż więc zaniesie więźniom Komunję świętą?

Tym razem zgłosił się do tego mały Tarcyzjusz. Z bijącem sercem i oczyma wilgotnemi od łez szczęścia, skrył mały bohater Najświętsze Ciało Jezusowe na piersiach i wyruszył z podziemi. Rychło znalazł się na ulicach miasta, które były o tej porze prawie puste. W miarę jednak, jak szedł dalej, coraz więcej ukazywało sie ludzi. Chłopiec przyśpieszył kroku, tembardziej, że zapadała ciemność, a wtedy trudno będzie dostać się do więzienia, strzeżonego pilnie przez żołnierzy. Nagle dostrzegł kilku swoich kolegów, bawiących się swobodnie na ulicy. Zanim zdołał skręcić w bok, żeby się z nimi nie spotkać, już byli przy nim.

— Dokąd idziesz? — spytali, patrząc bacznie na jego zaróżowioną twarzyczkę.

— Nie mam teraz czasu, śpieszno mi — odparł Tarcyzjusz, przyciskając swój skarb do piersi.

Zatrzymali go przemocą, namawiając dalej:

— Chodź bawić się z nami, tak nam wesoło czas schodzi, brak nam tylko ciebie.

Tarcyzjusz dał jednak znak, że nie chce zostać.

— Czemu, co ci jest? A co ty trzymasz pod płaszczem? — pytali jeden przez drugiego. Chwycił go wreszcie któryś za ręce, chcąc oderwać mu je od piersi. Zaczęła się szarpanina, która ściągnęła całą gromadę ludzi. Nagle ktoś z tłumu zawołał:

— To pewnie mały chrześcijanin, który niesie z sobą tajemnice chrześcijańskie.

Na to słowo wściekłość ogarnęła pogan. Rzucili się na chłopca i w jednej chwili kilkanaście rąk zaczęło go trącać i trząść nim na wszystkie strony. Tarcyzjusz modlił się tylko gorąco i jednocześnie coraz silniej przyciskał do serca Hostję Przenajświętszą.

— Nie dam Jezusa — wołał przejęty do głębi.

Wtedy niedobrzy chłopcy zaczęli rzucać na niego kamieniami. Krew zbroczyła twarzyczkę Tarcyzjusza, a jeden z większych kamieni rzucony silną ręką zdruzgotał mu ramię. Mały bohater chrześcijański ledwie się już trzymał na nogach, lecz nieustannie powtarzał: — Nie dam Jezusa!

Nagle ktoś rozepchnął tłum rozwścieczony. Był to szlachetny Rzymianin wyznający potajemnie wiarę chrześcijańską. Rozpędził napastników, chcąc się zaopiekować małym męczennikiem. Było już jednak zapóźno. Tarcyzjusz, zasypywany gradem kamieni, stracił prawie zupełnie przytomność Ciągle jeszcze tylko powtarzał: — Nie dam Jezusa!

Zaniedługo oddał swoją czystą duszę Bogu, dla którego tak chętnie poniósł śmierć męczeńską. Takich małoletnich bohaterów wielu było w owych czasach okrutnych prześladowań wyznawców Chrystusa.

E. Burchardówna

Gdzie Uniwersytet?

Kiedy na Zielone Świątki przyjadą do Krakowa dzieci z różnych stron Polski, by wziąć udział w wielkich uroczystościach na cześć Królowej Jadwigi, przygotowanych przez redakcję naszego „Dzwoneczka“, i zaczną zwiedzać w mieście zabytki historyczne, napewne zwracać się będą do osób oprowadzających z ciekawemi pytaniami: A gdzie to ten kościół, przy którego budowie odcisnęła się na kamieniu stopka Królowej? A która to baszta Wawelu nazywa się Kurzą Stopką i przechowuje komnatę, gdzie Jadwiga umarła? A w którem to miejscu stoi Uniwersytet przez nią hojnie obdarzony? I dużo będzie podobnych pytań o pamiątki po świątobliwej Królowej, a my będziemy wszystkim pokazywać różne rzeczy i objaśniać, by każdy uczestnik tej pielgrzymki do grobu Jadwigi, wracał do domu pełen wrażeń pamiętnych na zawsze, ale i z wiadomościami nowemi o nieznanym Krakowie.

Ale przypuszczamy, że i niejedno z dzieci krakowskich odpowie bałamutnie, gdy się spytamy o ów Uniwersytet Jadwigi, żeby więc upewnić je co do tego, pogawędzimy dziś właśnie o nim. Każdy uczeń, przechodząc w okolicy kościoła Kapucynów, wskaże zdaleka czerwony gmach na Plantach, mówiąc: To Uniwersytet. Tak jest, tam istotnie mieści się najważniejsza część jego, reszta zaś dla braku miejsca musiała być przeniesioną do wielu jeszcze innych wielkich budynków, bo dzisiaj na krakowskim Uniwersytecie uczą się tysiące akademików. Tymczasem za dawnych czasów bywały ich ledwie setki i dla nich starczyło miejsca w domu niedużym. Otóż istnieje budynek, w którym przed kilkoma wiekami zdobywali wyższą wiedzę najpierwsi uczniowie sławnej i zasłużonej wielce Wszechnicy czyli Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Jeszcze przed Jagiellonami założył go król Kazimierz Wielki w 1364, ale kiedy po jego śmierci podupadł i byłby przestał szerzyć światło wiedzy nietylko po Polsce, lecz i w krajach sąsiednich, skąd przyjeżdżała młodzież na naukę do Krakowa, wtedy Królowa Jadwiga zajęła się jego losem, sama wykształcona bowiem, rozumiała jego potrzebę. Oto ofiarowała przed śmiercią wszystkie swoje kosztowne klejnoty, by za nie mógł powstać znaczny fundusz, który raz na zawsze ugruntuje tej głównej szkole polskiej istnienie. Wolę wielkodusznej fundatorki i opiekunki nauk spełnił zaraz po śmierci Jadwigi, mąż jej, król Władysław Jagiełło, który w r. 1400 odnowił i powiększył Uniwersytet, od jego właśnie nazwiska po wszystek czas noszący nazwę: Jagielloński, ale mający zawsze w pamięci, że istnienie swoje ma do zawdzięczenia Kazimierzowi, Jadwidze i Jagielle, toteż widujemy obrazy przedstawiające razem tych troje założycieli Wszechnicy krakowskiej.

A teraz spytacie, gdzież jest ów wspomniany przez nas wyżej budynek, którego mury pamiętają pierwszych uczniów i pierwszych profesorów tej uczelni dawnej. Znacie go przy ul. św. Anny na rogu ul. Jagiellońskiej pod nazwą Bibljoteki Jagiellońskiej, zaglądacie na jego przecudny dziedziniec arkadowy w stylu gotyckim, z posągiem Kopernika w pośrodku, jako najsławniejszego ucznia, wiecie, że obok wejścia pokazują celę jednego z profesorów tej szkoły, a między świętych policzonego Jana Kantego. Otóż tu był Uniwersytet najpierw w wieku 15 tym, lecz gdy się rozwijał coraz bardziej, stało mu się w tym budynku ślicznym, ale niedużym, zaciasno, więc musiał budować inne obszerne, a w jego pamiątkowych murach przechowuje się mnóstwo pamiątek z zakresu nauki i oświaty dawnych wieków, olbrzymie zbiory dokumentów, rękopisów, ksiąg i pism, map i rycin, narzędzi naukowych, globusów staroświeckich i t. p.

Jak wygląda główna sala tej Bibljoteki, pokaże wam fotografja na pierwszej stronie dzisiejszego „Dzwonu“. Starajcie się jednak ze swą szkołą lub z rodzicami zwiedzić to muzeum ksiąg niezmiernie cennych, które tu się zmieścić już oddawna nie mogą i dla których buduje się na Błoniach odpowiedni gmach, a bardzo zależy na pośpiechu, bo nietylko ciasno pracować uczonym w starych murach, ale i księgi niszczeją w wilgoci lub zagrożone przez korniki. *K.*

Przez raj Palmalu

Pamiętnik Janka Orszy z Borówki.

(Ciąg dalszy.)

Kiedy o tej wyspie rodzinnej mówili, zdawało się, że życie wśród strasznych wulkanów musi tam być piekłem na ziemi. A jednak z każdego ich słowa widać było, że wszystkie westchnienia włóczęgów ulatują z utęsknieniem tylko między góry ojczyste, u których stóp upłynęło ich dzieciństwo. Zdawało się, że gdyby tym ludziom odebrać nadzieję powrotu w rodzinne strony, ręceby im opadły bezwładnie i straciliby wszelką ochotę do pracy, do życia. Trzeba ich było widzieć i słyszeć w ten wieczór, kiedy na widok siwego jastrzębia, co się im wydał orłem białym z Alp australijskich, przypomnieli sobie młodzieńcze wyprawy łowieckie. Naówczas mogli za każdym razem jeszcze powracać na swą wyspę; gdy później tak się od niej oddalili, że już nawet myśl o powrocie stawała się niemożliwością Czułem w ich głosie i w oczach ich widziałem tę serdeczną tęsknotę, jaka tych ludzi, niedawno jeszcze półdzikich, ciągnęła napowrót do miejsca, gdzie stała ich kolebka i groby ich ojców zostały. Więc chociażby tam było najgorzej, to jeszcze lepiej będzie pod tem swojem, niż pod cudzem niebem.

Myśląc nad tem, czułem jakgdyby wyrzuty sumienia; że należałem do niedobrych synów ojczyzny, co ją porzucają i w świat daleki idą szukać lepszej doli, zamiast własną pracą starać się polepszyć złą dolę wsi rodzinnej. Mówiłem o tem z panem Stefanem, który mnie pocieszał, żem jeszcze tak młody, iż mam czas poprawą błąd mimowolny powetować. Wtedy zwierzyłem się profesorowi, że pragnę, jak owi dwaj Maori, zaoszczędzić sobie pieniądze, jakie w tej podróży zarobię, na to, by umożliwić rodzicom wyrwanie się z niewoli brazylijskiej i wspólny nasz powrót za ocean do kraju. Pan Skierski nic na to nie powiedział, tylko mocno uścisnął mi rękę. A tymczasem noc już nas otoczyła, ognisko przed namiotem dogasało i Malajowie pomilkli. Siedzieliśmy wśród ciszy, wpatrzeni w czarne gąszcze, na których tle migały tu i ówdzie niebieskie iskierki. Były to sprężyki, które w noc świecą w amerykańskich lasach, niby nasze robaczki świętojańskie. Chwilami z dalekiego jeziorka, wodną rzęsą pokrytego, odzywało się rechotanie wielkich ropuch. Zasłuchałem się w te echa miarowe i zapatrzyłem się w migocące pod czarnym lasem gwiazdki robaczków. I naraz wydało mi się, że mnie jakaś siła cudowna przeniosła na drugi kraniec świata, aż za Wisłę, za Bug, do ziemi łomżyńskiej, pod gaje brzozowe — i widziałem się chłopięciem wiejskiem w ukochanej Borówce. Te robaczki świecące, i te żaby, i ten wilgotny chłód nocy po dniu upalnym, — wszystko to tak mi przypomniało polskie strony, że mi się bezwiednie łzy zakręciły w oczach... Biegłem tam myślą daleko za morza do porzuconej zagrody ojczystej; i tu znowu bliżej, poza szczyty Andów, poza lasy brazylijskie, do matki, do ojca, do najdroższej siostrzyczki... *C. d. n.*

Szarady, zagadki — dla naszej gromadki

Szarada.

Pierwsze-trzecie to szkodniki, co nie znają polityki i tak chciwej są natury, że gdzie spoczną, robią dziury Drugie gramatyka mieści, drugie-trzecie różnej treści, bo zależne jest od tego, co nam daje, raz więc dużo, raz znów mało sie wydaje, szukać jednak tam gdzie drugie. Całość — lotne Boże twory, kolorowo malowane, lecz żarłoczne potwory niezbyt pożądane.

Rozwiązanie z numeru siódmego:

Zagadka: Świeca. Szarada I: Kocham cię. Szarada II: Kanapa.